Rok 1935. 30 czerwca. Nr. 27

DZWONECZEK

DZIAŁ DLA MŁODSZYCH CZYTELNIKÓW „DZWONU NIEDZIELNEGO"
Pod redakcją Eli Oleskiej.

Ostrożnie z wodą!

Dzieciom ku uwadze na początku wakacyj.

Jakże miłe i drogie są nam nasze rzeki, te przedziwne twory natury, co przez całe stulecia płyną i płyną jednako — zda się — niby tąsamą wciąż wodą, niosąc ją nieustannie w darze morzom dalekim. Gdy tak siądziemy nad brzegiem Wisły, Warty czy Niemna i zastanowimy się nad tem, że przecież one taksamo płynęły już za czasów Kraka, Lecha czy Giedymina, to wydadzą się nam chyba niekończącemi się nigdy wstęgami, które wiążą najdalszą naszą przeszłość z przyszłością w jedną całość.

Smutne są okolice pozbawione rzek, a choćby tylko strumieni; niechętnie też osiedlają się w takich stronach ludzie n. p. na wypoczynek wakacyjny, pragną bowiem poza świeżem powietrzem używać także zdrowej kąpieli, o którą tak trudno w mieście. Niestety, jakże często kąpiele te bywają przyczyną strasznych wypadków. Ludzie wogóle są zazwyczaj bardzo lekkomyślni, a cóż dopiero mówić o młodzieży. Dzieciom nic najczęściej nie pomagają ostrzeżenia starszych, nie powstrzymują ich okropne przykłady licznych utonięć z powodu właśnie tej lekkomyślności. Młodzi wyobrażają sobie zawsze, że są mądrzejsi i roztropniejsi od starszych i co się innym przydarzyło, im się zdarzyć nie może, bo to..., bo tamto..., bo owo... Zawsze na wszelkie uwagi znajdą swoją odpowiedź, uśmiech lekceważący lub żart pospolity: nie taki djabeł straszny, jak go malują.

A tymczasem co się dzieje? Ledwie zaczęły się upały, a już każdy dzień, każda niemal gazeta przynosi wiadomości o wypadkach śmiertelnych na rzekach, jeziorach, na morzu. Tu kąpiący się oddalił zanadto od brzegu i natrafił na głębię, tam inny liczył na swoją umiejętność pływania, lecz porwał go wir, z którego nie zdołał się wydostać, gdzieindziej puściły się chłopaki łódką na wodę głęboką, jeden nieostrożnie się przechylił, łódź przewróciła się — i poszli na dno.

Świeżo dzienniki doniosły o strasznym wypadku małoletnich podróżników, co to na słabym kajaku wybrali się Wisłą aż do morza. W tajemnicy przed rodzicami, zaopatrzywszy się w jaki taki zapas żywności, wypłynęli 14-letni Staś z młodszym od siebie o 4 lata Zdzisiem w daleką drogę. Zpoczątku szło jakoś nieźle, aż pod Tarnobrzegiem wielka fala przewróciła łódź. Obaj wpadli do wody. Staś, który widocznie, umiał pływać, rzucił się na pomoc braciszkowi, którego nakryła już woda. Chwycił go jeszcze w głębinie, lecz gdy wyciągnął na brzeg, okazało się, że Zdziś był już martwy. Pogonił natychmiast do wsi po ratunek, jednak wszystko było daremne. Można sobie wyobrazić jego rozpacz, gdy musiał rodzicom donieść o tem okrutnem nieszczęściu, którego sam był sprawcą przez swoją lekkomyślność.

Aż strach pomyśleć, ile to jeszcze nieszczęść może się stać w dalszych miesiącach lata, gdy ledwie początek tyle już pociągnął ofiar. Niechajże ten przykład stanie się ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy nie chcą widzieć w wodzie żywiołu groźnego i wyobrażają sobie, że łatwo sobie z nim dadzą radę.

W moskiewskiej szkole.

Kto z was, kochane dzieci, chciałby chodzić do takiej szkoły, w której nie wolno by wam było uczyć się po polsku, w której nauczyciel odzywałby się do was w obcym języku, w której co chwila na lekcjach słyszałybyście od niego, że kraj, gdzie mieszkacie, gdzieście się urodziły, i nietylko wy, ale i wasi rodzice i dziadowie i jeszcze dalsi przodkowie — to nie Polska, nie wasza Ojczyzna, lecz kraj rosyjski i po wiek wieków takim już zostanie.

Gdyby wam w tej szkole zakazano nawet między sobą rozmawiać po polsku, a każde wasze przez zapomnienie po polsku odezwanie się podsłuchiwał nauczyciel, aby to straszne „przestępstwo" zapisać sobie w notatniku, a potem wyznaczyć wam za nie „zasłużoną" karę...

Gdyby nietylko w szkole, ale nawet na ulicy, w sklepie, wogóle na miejscu publicznem, nie wolno było odzywać się w rodzinnej mowie, a modlić się można było jedynie z książeczek w obcym drukowanych języku, i to modlić się za jakiegoś cara rosyjskiego, co wam kraj zrabował, pozbawił naród wolności, co za miłość Ojczyzny więził waszych ojców, z wszystkiego ich wywłaszczał, wtrącał ich do więzień, wieszał na szubienicach, wysyłał daleko w krainę wiecznej zimy, przykuwał łańcuchami do taczek w straszliwych kopalniach na długie lat dziesiątki...

Gdyby wam za to, żeście Polakami, urągano na każdym kroku, wyśmiewano, poniżano, zaprzeczano wam prawa do życia według własnych pragnień, według wskazówek umiłowanej przeszłości dla szczęścia i chwały przyszłości...

Czy możecie sobie choćby tylko wyobrazić taką mękę polskich dusz i serc? A przecież tak było przed laty w Polsce; były takie moskiewskie i pruskie szkoły, w których polska dziatwa w obcym, nierozumianym przez siebie języku musiała się uczyć wszystkiego, musiała się kryć z każdem słowem polskiem, musiała jak niewolnik słuchać cudzych nienawistnych sobie rozkazów.

Do takiej szkoły chodził w swych chłopięcych latach zmarły przed kilku tygodniami Marszałek Józef Piłsudski. Było to w Wilnie, w tem mieście gdzie może najstraszniej pastwił się Moskal nad bezbronnemi dziećmi polskiemi. Ziuk siedział wraz ze swym bratem Bronisiem w pierwszej ławce. Z ust nauczyciela właśnie codopiero padły słowa, które były sponiewieraniem czci naszych bohaterów narodowych, tych którzy w walkach powstańczych starali się odzyskać dla Polski niepodległość.

Jeszcze echo słów obelżywych nie ucichło, gdy Ziuk pobladły śmiertelnie, porwał się z miejsca, zakrzyknął — i opadł zpowrotem w ławkę, szarpnięty przez brata. Cisza zaległa klasę na chwilę, cisza złowroga, podczas której moskiewski nauczyciel, wpatrując się w ściągnięte brwi nad czołem małego gimnazisty, notował sobie w pamięci ten niedoszły wybuch gniewu polskiego ucznia. Zdał potem raport władzom szkolnym i od tego czasu Ziuk stał się przedmiotem najwymyślniejszych dokuczań i prześladowań w szkole.

Wynagradzali mu to jego koledzy polscy, otaczając go miłością, szacunkiem i podziwem. On stał się dla nich odtąd duchowym przewódcą, jemu jednemu wierzyli, w niego zapatrzeni, słuchali jego płomiennych nakazów, gdy im przytaczał słowa wieszczów narodu, które umiał na pamięć, gdy im powtarzał słowa matki swojej, by starał się zdobywać spokój wewnętrzny, by się umiał opanowywać i uzbrajać w cierpliwość i wytrwałość, aby gdy pora nadejdzie, umiał znaleść sposób na pomszczenie krzywd narodu dla strącenia hańbiącej niewoli.

Tak to od najmłodszych lat rósł Józef Piłsudski w przekonaniu, że na swojem sumieniu ma przyszłość Polski, którą już teraz w swej młodości ratować musi przed zagładą wśród najbliższego przynajmniej otoczenia. Stawał się coraz poważniejszy, zamknięty w sobie, rozmyślając ciągle nad tą jedyną ważną dla niego sprawą, którą była przyszłość Polski. W największej tajemnicy przed wrogimi nauczycielami założył wraz ze swym kolegą Witkiem Przegalińskim, bibljotekę, do której książki zdobywano Bóg sam wie skąd, bo przecież każda książka polska była tam w Wilnie tępiona przez władze moskiewskie z największą zaciekłością. Pozatem urządzano potajemne pogadanki, odczyty, uroczystości, oczywiście tylko w domach znajomych, gdzie się zbierali Polacy niby na jakie nabożeństwo niedozwolone przez wrogów. Jak głęboko zapadły w duszę dziecka te okrutne czasy moskiewskiej szkoły, można sobie wyobrazić z tego, że jeszcze w późniejszym wieku miewał Marszałek często przykre sny, w których zawsze występowali jego moskiewscy nauczyciele z lat gimnazjalnych.

O wydrze pełnej „cnót“.

Swego czasu drukował „Dzwoneczek“ bardzo zajmującą historję pewnej wydry, a nawet całej jej rodziny. Dzisiaj opowiemy coś o innej wydrze, która zdobyła sobie sławę w historji polskiej i do dziś znana jest pod nazwą „wydra pana Paska“, albo wydra króla Jana Sobieskiego, jako że obaj oni byli jej właścicielami.

Działo się to zatem przed dwustu pięćdziesięciu przeszło laty. Ów pan Pasek, mający na imię Chryzostom, był rycerzem polskim żyjącym pod trzema z kolei królami, a mianowicie: nieszczęsnym Janem Kazimierzem, za którego to panowania zalał Polskę potop szwedzki, a z którego wyswobodziła ją cudowna obrona Jasnej Góry przez ks. Kordeckiego, następnie pod Michałem Korybutem Wiśniowieckim, za którego znowu Turcy kraj niszczyli; i wreszcie pod królem Janem Sobieskim, nieśmiertelnym tychże Turków pogromcą.

Ponieważ były to czasy wojenne, przeto cała młodość pana Paska przeszła na żołnierce, wśród trudów krwawych bitew. Przeszedł on zatem i poznał w swych żołnierskich wędrówkach różne kraje i wiele w świecie widział ciekawego, o czem później pisał nawet pamiętniki. Na starsze lata osiadł na roli i gospodarował, wożąc na sprzedaż pszeniczkę do Gdańska. Dzierżawiąc wieś Olszówkę, wychował sobie Pasek młodziutką wydrę, którą wyuczył różnych figlów, do czego zresztą sama wielkie miała zdolności. Była tak pojętna, że podobno nawet rozumiała, co do niej mówiono. Nic zatem dziwnego, że rozniosła się o niej sława po całej Polsce i dotarła do samego króla w Warszawie. A było to właśnie na wiosnę około Wielkanocy, kiedy po nadzwyczaj łagodnej i krótkiej zimie, pasano bydło na zasianych już w styczniu zbożach, gdyż wyrosły niemożliwie wysoko.

Był właśnie pan Pasek zajęty sprawami gospodarskiemi, gdy zjawił się u niego posłaniec królewski z listami, w których król jegomość prosił go o darowanie mu wydry. Zasmucił się tem Pasek, gdyż wydrę bardzo polubił i byłby wolał raczej część majątku stracić, niż ją. Z drugiej zaś strony trudno mu było odmówić królowi, tembardziej, że i inni panowie dworscy prosili go o zrobienie tej radości Najjaśniejszemu Panu. Z bólem serca zgodził się na to i odrazu poszedł szukać swojej ulubienicy, która gdzieś się włóczyła po stawach, jako że bez polowania żyć nie mogła. Towarzyszył mu poseł królewski na łąki, skąd pan Chryzostom zaczął nawoływać wydrę po imieniu, a nazywała się Robak.

Niebawem wyszła wydra z wody i zaczęła się łasić około swego pana, aż zadziwił się Straszewski (tak się poseł nazywał) że taka łaskawa. Wtedy odpowiedział pan Pasek.

— Jeszcze więcej chwalić ją będziesz Waćpan, gdy poznasz wszystkie jej cnoty.

Poszli więc na groblę przy stawie i Pasek odezwał się do wydry:

— Trzeba mi ryb dla gości, Robak, hul w wodę!

W jednej chwili wydra wyniosła z wody najpierw płocicę, następnie małego szczupaka, wreszcie tęgiego szczupaka na cały półmisek.

— I cały ceber ryb potrafi ona nałowić, kiedy potrzeba — rzekł Pasek do zdziwionego Straszewskiego, poczem zaczął mu opowiadać wszelkie dziwy o swojej wydrze. A więc jak to sypia z nim razem w jednem łóżku, a jest tak porządna, że nigdy pościeli nie zawala, z potrzebą zaś chodzi zawsze na jedno stałe miejsce, gdzie postawiono jej skorupkę. W nocy nikomu nie pozwala przystąpić do łóżka swego pana i jednemu tylko chłopcu daje spokojnie zdjąć mu buty. Czuwając tak nad swym panem przez całą noc, zato w dzień śpi twardo, iż można ją wynieść na rękach — a nic nie czuje. *(dok. nast.)*

Szarady, zagadki — dla naszej gromadki

ZAGADKA

Kiedy na przedzie stanie samogłoska,
Owoc to będzie i smaczny i zdrowy.
Lecz gdy ją kiedy zastąpi spółgłoska
Nieszczęsny wyraz mamy już gotowy.

On właśnie rodzi zatrute owoce
Czynów człowieka, dla których pomoce
Znaleść nam można u konfesjonału
Aby się lepszym wciąż stawać pomału.

Rozwiązanie szarady z nru. 25

E. Las. Tyka' Laska. Etyka. Elastyka.

